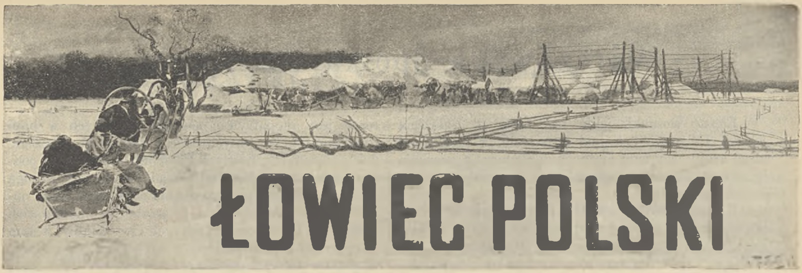


ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Ogólnego zbioru Nr. 134.

№ 20. | Warszawa, 3 (16) października 1904 r. | Rok VI.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie.



Ostatnie chwile.

Warszawska Spółka Myśliwska.

Liczne stosunki, jakie nas łączą od założenia „Łowca Polskiego", t. j. od lat sześciu, z myśliwymi całego kraju, dały nam możność dokładnego zapoznania się ze wszystkiemi potrzebami i wymaganiami naszego łowieckiego ogółu.

Uwzględniać te potrzeby i dopomagać w ich zaspokojeniu w miarę sił i środków uważaliśmy i uważać będziemy zawsze za najpierwszy obowiązek „Łowca Polskiego", jako organu dla celów myśliwskich założonego i wydawanego.

Niestety, nie zawsze byliśmy w możności sprostać temu zadaniu i zbliżyć się do tego ideału najlepszego informatora, jakim w obszernej dziedzinie łowiectwa winien być „Łowiec Polski" dla każdego myśliwego.

Największym szkopułem, o który rozbijały się nasze najlepsze chęci, była faktyczna niemożliwość dokładnego informowania naszego czytelnika w dziale nowości, dotyczących broni, jakkolwiek zeznawaliśmy zawsze z całą świadomością, że broń dla myśliwego jest przedmiotem pierwszorzędnej wagi. Z tą luką w naszem piśmie biedziliśmy się nie mało, mając to przeświadczenie, że jeśli jej nie wypełnimy, nie staniemy nigdy na wysokości zadania.

A jednak lukę taką wypełnić nie łatwo, jeśli chcemy wykluczyć powierzchowność i blagę. Chcąc rzetelnie i uczciwie informować swego czytelnika o nowościach w zakresie broni palnej i jej przyborów, należy być w istotnem posiadaniu tych wszystkich nowości; należy się z niemi dobrze zapoznać. Dopiero rozebrawszy broń, zbadawszy jej system szczegółowo, a następnie należycie wypróbowawszy, można wyrazić o niej swoją opinię i poinformować ogół myśliwych tak, aby z tej informacyi mógł płynąć pożytek, nie szkoda. Powierzchowność w tych razach byłaby lekkomyślnością nie do darowania, groziłoby bowiem nie tylko kieszeni, ale częstokroć i życiu naszych kolegów-myśliwych.

Pragnąc uczciwie, według powyższej metody, dział broni i przyborów w piśmie prowadzić, należałoby zaopatrzyć się w cały arsenał karabinów, sztucerów, śrótówek, rewolwerów i t. p., a nadto mieć cały skład amunicyi i przyborów myśliwskich, na co Redakcya pisma nie może sobie pozwolić, najpierw z powodu przepisów administracyjnych o prawie utrzymywania broni, a następnie z powodu kosztów, jakie pociągnęłoby za sobą tworzenie takiego arsenału i składów.

Szczęśliwa myśl, która kiełkowała wśród nas oddawna, a której urzeczywistnienie zawdzięczamy szerokiemu kołu prawdziwych zwolenników myśliwstwa i przyjaciół naszego pisma, pozwala nam wreszcie wybrnąć z tego błędnego koła, które jak żelaznemi kleszczami powstrzymywało rozwój działalności „Łowca Polskiego" w kierunku broniowym.

W dniu 6 października, przed notaryuszem p. Wasiutyńskim sporządzony został akt, na mocy którego zawiązała się spółka p. f. „*Warszawska spółka myśliwska*" z kapitałem zakładowym 150,000 rub., której celem jest zaopatrywać naszych myśliwych w broń i wszelkie przybory myśliwskie. Spółka ta bezpośrednio związana z „Łowcem Polskim", a mająca za podstawę tak poważny kapitał zakładowy, da nam zupełną możność dokładnego zapoznania się z wszelkiemi nowościami w zakresie broni i przyborów myśliwskich i uczciwego informowania naszych czytelników w tym kierunku — z jednej strony, a z drugiej — da możność wszystkim naszym myśliwym zaopatrywać się w broń, amunicyę i wszelkie przybory w magazynach spółki, t. j. tam, gdzie nad ich łowieckim interesem czuwać będzie bacznie a bezustannie komplet myśliwych, szczerze myślistwo miłujących.

Aby uniknąć wszelkich fałszywych kroków, na jakie każde nowopowstające przedsiębiorstwo musi być narażone, „*Warszawska spółka myśliwska*" skorzystała ze sposobności i nabyła składy broni i przyborów myśliwskich, istniejące oddawna w Warszawie (Królewska 17) p. f. „B. Ronczewski". Firma ta, powstała przed laty 20-tu, rozwijała się pomału i stopniowo, zyskując sobie uznanie bardzo licznego koła myśliwych, a prowadząc swój interes handlowy solidnie, zdobyła pierwszorzędne stanowisko w warszawskim handlu bronią. Ponieważ współwłaściciele tej firmy, oświadczyli gotowość sprzedania całego przedsiębiorstwa, przeto „Warszawska spółka myśliwska" postanowiła je nabyć, poprowadzić w dalszym ciągu i należycie rozwinąć, przez co rzeczone przedsiębiorstwo nie tracąc nic z dotychczasowych swych zalet handlowych, zyskuje ten pierwiastek szczerze myśliwski, którego mu dotychczas brakowało, a którego w handlu bronią i przyborami myśliwskiemi lekceważyć nie można.

„*Warszawska spółka myśliwska*" prowadząc już nadal te składy na własny rachunek, a rozporządzając tak poważnym kapitałem, stawia sobie za zadanie, aby każdy myśliwy znalazł w jej magazynach wszystko co mu do jego łowiectwa potrzebne w gatunku wyborowym i po cenach możliwie najprzystępniejszych, a dalej rozwinąć warsztaty i podnieść poziom puszkarstwa, które pozostaje u nas obecnie w stanie dziwnego zaniedbania i w tym celu postanowiła zmienić lokal na odpowiedniejszy do pomieszczenia powiększonych składów i watsztatów. O zmianach tych we właściwym czasie nie omieszkamy powiadomić naszych czytelników. Tymczasem zaś magazyny firmy pozostają w dawnym lokalu przy ulicy Królewskiej.

Pozostaje nam jeszcze podać tu listę spólników, których nazwiska znane są dobrze licznemu kołu zwolenników myślistwa. Akt notaryalny „*Warszawskiej spółki myśliwskiej*" podpisali pp. Ksawery hr. Branicki, Jan Sztolcman, Józef Zarembski, Władysław Słonczyński, Stanisław Lilpop, dr. Stanisław Zaborowski, Wiktor Stephan, Ignacy Apenszlak, Antoni Wolski i inni.

Redakcya.

ZAJĄC POSPOLITY

(Lepus timidus)

przez

Wiktora Stephana.

(Praca, odznaczona I-ą nagrodą na konkursie Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.)

(Dokończenie).

W celu patroszenia układa się zająca na grzbiecie, rozpara t. j. przecina skórkę na skokach tak, aby cięcie przeszło powyżej otworu odchodowego. Podniósłszy nieco smużek, przecina się błonę brzuszną i prawą ręką wsuwa do wnętrza, — ujmuje przełyk przy przeponie brzusznej tak, aby następnie podwinąwszy rękę, wnętrzności wyjąć na zewnątrz, poczem kiszkę odchodową przy otworze się przecina. Następnie unosi się zająca za słuchy do góry, aby farba spłynęła, a gdy to nastąpi, przekłuwa się smużek pod brzuchem i przez otwór ten, ogonek, czyli kosmyk, przewleka, poczem zająca się zawiesza. W ten sposob zając wypatroszony jest po myśliwsku.

Można także po wyżej opisanem cięciu, ująć zająca za słuchy i potrząsnąć nim kilka razy, a trzewia swym ciężarem same wysuną się na zewnątrz, poczem kosmyk przewleka się przez smużek, jak wyżej.

Wypełnianie zająca pokrzywami lub gałązkami sosnowemi albo świerkowemi, zapobiega psuciu, powietrze bowiem łatwiej przechodzi i mięso nabiera z gałązek aromatycznego zapachu. Zające przesyła się bez opakowania; przyczem nogi związuje się razem. Przed wysyłką jednak, umieścić zające w przewiewnem miejscu przynajmniej 6 do 12 godzin, aby zupełnie wyziębły.

Gdy zające mają się w skrzyniach przewozić, to tembardziej należy poprzednio zwierzynę zupełnie oziębić, a następnie przekładać warstwami słomę i zwierzynę. Najgorzej przechowuje się zając w miejscu zamkniętem, najdłużej w miejscu przewiewnem. Patroszona zwierzyna, wywieszona w miejscu przewiewnem, nabiera lepszego smaku. Dłuższy czas, bo 14 i więcej dni, można utrzymać zwierzynę na lodzie, zwrócić jednak uwagę, ażeby na nim nie leżała bezpośrednio, tylko na podkładzie, np. na słomie lub na desce. Najlepiej jednak, jeżeli można, zawiesić zająca na haku, żeby powietrze ze wszystkich stron miało przystęp.

Młode zające są smaczniejsze od starych, a odróżnić można młodego od starego po tem, że ucho młodego jest słabe i daje się z łatwością w kierunku podłużnym równo rozerwać, ucho starego zająca rozrywa się przy większym wysiłku i strzępiasto. W handlu poszukiwane są zające o więcej jasnem ubarwieniu.

Skórkę zajęczą naciąga się na deseczkę odpowiedniej formy, lub też na widełki, posypuje mieszaniną popiołu z solą i ustawia w cieplem miejscu. Gdy skórka trzeszczy, to jest znak, że sucha, odwraca się ją wówczas włosem na wierzch i przechowuje do dalszego użytku.

ROZDZIAŁ V.

Zając bielak. (Lepus variabilis).

W guberniach północnych żyje zając bielak, jest on cokolwiek mniejszy od zwyczajnego. Chociaż jest biały, nie jest jednak albinosem, i oczy ma takie, jakie ma zając zwyczajny. Turzycę ma bielak bardzo delikatną, latem czarno-szarą z żółto-brunatną pomieszaną, w zimie jest biały, tylko koniec słuchów i brzegi są czarne. Atoli w krajach bardzo wysuniętych na północ, barwy włosu nie zmienia, pozostaje więc biały w ciągu całego roku. W krajach zaś o klimacie łagodnym, jak w Irlandyi, zatrzymuje znowu na zimę letnie ubarwienie, a w południowej Szwecyi zmienia na zimę barwę futra na szarą.

Słuchy bielaka są krótsze od głowy. Osmyk krótki w zimie bardzo kosmaty. Bieg ma wolniejszy od pospolitego, dlatego też, ścigany przez psy, chowa się pod wykroty i t. p.

OFIARA ETYKIETY.

Wysoce demokratyczna i wolnomyślna Francya zachowała jeszcze w niektórych swych instytucyach urzędowych lub półurzędowych dawne zwyczaje, tchnące w najwyższym stopniu zasadami monarchicznemi. Między innemi obecni prezydenci rzeczypospolitej prowadzą tryb życia, wzorowany na obyczajach dawnych królów Francyi; na wszystkich wystąpieniach urzędowych otaczają się wcale niedemokratycznym przepychem, a na dworze ich przestrzegana bywa dość surowa etykieta, która nie zawsze licuje ze skromnemi zwyczajami ich lat dziecięcych. Wyradzają się więc nieraz wskutek tego sytuacye komiczne, które chętnie wywłóczy na światło dzienne żądna ploteczek prasa francuska. Jeden z takich zabawnych epizodów zdarzył się przed kilku laty, bodaj za prezydentury Feliksa Faure'a, i służył za temat do żarcików i kpinek wśród paryskiego towarzystwa przez czas dość długi. Oto jego szczegóły.

Pan prezydent, urządzając polowanie dla jednego z zagranicznych książąt, który przejazdem bawił w Paryżu, zaprosił, między innymi, przyjaciela lat dziecięcych, bez kwestyi wielkiego myśliwego w obliczu ś-go Huberta, lecz bynajmniej nie obznajmionego z chińszczyzną etykiety; a trzeba dodać, że się znajdował poraz pierwszy na polowaniu prezydenckiem

Zachwycony obfitością zwierzyny — bażantów, zajęcy i kuropatw, — które nieustannie zrywały się lub pomykały zpod nóg jego, odurzony licznemi strzałami, nasz myśliwy, znajdujący się poraz pierwszy na podobnym festynie łowieckim, był w siódmem niebie. Skoro tylko ostatnie strzały zamilkły, wzięto się do ułożenia rozkładu, czemu z zajęciem przyglądał się p. prezydent wraz ze swymi gośćmi. Wielki mistrz ceremonii (*chef du protocole*), opięty w swym uniformie, pełen godności i powagi, śledził, aby się wszystko odbywało według wymagań etykiety.

W tej chwili przyjaciel lat dziecięcych prezydenta, nieobznajmiony bynajmniej z ceremoniałem, pozwolił sobie pierwszy zwrócić się na cały głos do naczelnika rządu, i przytem, *horresco referens*, mówił mu „ty“!

Jak ludzie zapamiętać mogą, nigdy podobny skandal nie zdarzył się na dworze prezydenckim. P prezydent, znający doskonale wszelkie reguły etykiety, uśmiechnął się tylko i udał, że nie słyszy. Co się zaś tyczy mistrza ceremonii, to ten zmierzył ostrym i pogardliwym wzrokiem niefortunnego myśliwca, wyrażając tem surową naganę za podobne naruszenie rytuału etykiety. Spostrzegł to nasz gość i zwracając się do najbliższego sąsiada, pewnego deputowanego facecyonisty, zapytał go:

— Cóż to za jegomość w tym mundurze, co w taki dziwny sposób zmierzył mnie wzrokiem?

— Jest to starszy strzelec — odpowiedział mu na ucho, zapytany. — Trzeba bowiem panu wiedzieć, że jest

U nas bielak lubi przebywać w falistym terenie lub w suchych równinach. W Alpach żyje ponad 1,000 metrów nad poziomem morza. Czynione niejednokrotnie próby zaprowadzenia bielaka do równin, nie dały pomyślnych rezultatów (zapewne z braku naturalnych środków do życia).

Co prawda, niema czego żałować, bo bielakowi nie dostaje wielu zalet, które zając zwyczajny posiada.

1) Bielak nie jest tak płodny, jak zając zwyczajny i z nim się nie krzyżuje.

2) Mięso również nie jest takie smaczne, jak ze zwyczajnego.

3) Koci się później od zwyczajnego, bo zazwyczaj dopiero w początkach kwietnia.

4) Jest mniejszy od zwyczajnego.

Jedynie skórka zimowa daje lepsze, bo cieplejsze, futerko.

Na zakończenie dodaję, że podjąłem się niniejszej pracy li tylko w tym celu, by zapoznać nie myśliwych z tak pospolitym zwierzęciem, jakim jest zając: myśliwy bowiem, nic tu nowego znaleźć nie może.

Wobec skromnych wymagań konkursu, tuszę, że monografia ta choć w części celowi odpowie.

CIETRZEW.

(*Ciąg dalszy*).

Najwcześniej zaczynają tokować stare cietrzewie, i na gęstem tokowisku; cietrzew, który pierwszy przylatuje i zaczyna swą pieśń, otrzymał u nas nazwę „tokowika“. Głos tokującego cietrzewia, jest podobny do bulgotania wody, ale ma swój specyalny rytm i kończy się syczeniem, raczej, jak u nas mówią, „czuszykaniem“, gdyż jest to dźwięk podobny do „tiuszy“ lub „czuszy“. W ciche ranki, bełkot cietrzewia słychać o 3 lub 4 wiorsty, a czuszykanie na odległość pół wiorsty. W czasie toku brwi cietrzewia się podnoszą i przybierają jaskrawo czerwoną barwę, szyja mu grubieje i pióra na niej się podnoszą, przez co wydaje się ona grubszą od głowy. Przytem cietrzew wyciąga szyję, rozpuszcza skrzydła i ogon.

Na gęstem tokowisku, często na długo przed świtaniem, przylatuje pierwszy tokowik, siada na ziemi i pozostaje chwilkę bez ruchu, nasłuchując, czy niema niebezpieczeństwa; wówczas zaczyna tokować. Naprzód parę razy z rzędu wydaje syczenie, po którem rozpoczyna się właściwe bełkotanie. Wkrótce przylatuje drugi, trzeci, często zbiera się tak do dwudziestu. Cieciorki też wkrótce się zjawiają i wtedy rozpoczynają się o nie zajadłe bójki. Głos cieciorki na toku podobny jest do urywanego: „e-e-e-e“ z różnemi odcieniami. Tok trwa często do godziny 8—9 rano, a nawet niektóre stare cietrzewie tokują pojedyńczo do południa, ale tylko gdy niema wiatru. W ciche i pogodne dnie kwietniowe i majowe, cietrzewie tokują też wieczorami, od zachodu słońca do zupełnej ciemności.

Cieciorki budują gniazda same, bez pomocy samców, zaraz po zaczęciu toków, zwykle na ziemi, na suchym mchu, na wrzosowisku, lub w suchym borze. Gniazdo jest bardzo prostej budowy, wysłane mchem i pierzem. Cieciorka, gdy poczuje, że zbliża się czas kładzenia pierwszego jajka, opuszcza tokowisko i udaje się do gotowego gniazda. Zniósłszy pierwsze jajko, przykrywa je razem z gniazdem mchem, a nazajutrz znów wylatuje na tok, poczem znosi drugie jajko i t. d. Ilość jaj znoszonych przez cieciorki, jest rozmaita: młode znoszą 4 — 8, stare 7 — 11, a nawet 12. Jajko jest białe, nakrapiane rudo-brunatnem i względnie do wzrostu cietrzewia, bardzo małe (trochę większe od gołębiego). Po zniesieniu ostatniego jajka, cieciorka przestaje wylatywać na tok, siedzi na gnieździe pilnie i tak twardo, że niekiedy można ją złowić rękoma. Po miesiącu wysiadywania, wylęgają się młode cietrzewie, które, po upływie 12 godzin, zaczynają już biegać. Z początku matka łowi dla nich owady, lecz po paru dniach, młode robią to już same. Młode cietrzewie zaczynają latać w 5 dni, mniej więcej, po wylęgnięciu się. Samce nie różnią się wtedy wcale od samic. Przebywają zaraz po wyjściu z jajka, na suchych łąkach, polankach, porosłych wrzosem, krzakami maku i leszczyny i na suchych mchach. Później, gdy samce zaczną farbować, więcej się trzymają miejscowości, porosłych czernicami, bahunem i łozą, a zwanych u nas „jagodnikami“; również i na brzegach lasów, koło owsa, lnu i jęczmienia, w których to zbożach często siedzą. W mokre lata przebywają raczej w suchych borach, na wrzosowiskach. Młode cietrzewie trzymają się starki do końca sierpnia; później, gdy samce już wyfarbują, rozbijają się chwilowo (na kilka dni najwyżej) na pary, a jeszcze później, spotyka się je pojedyńczo.

Tymczasem po skończonych tokach, stare cietrzewie, razem z cieciorkami jałówkami, wynoszą się do zapadłych i niedostępnych kniej i bagien, i tam zmieniają pierze. Ukazują się dopiero w końcu czerwca i wtedy trzymają się na mchach (jagodnikach); w końcu lipca i w sierpniu można je spotkać koło pól owsa i jęczmienia. Cietrzew, gdy zmienia pierze, lata bardzo źle, tak, że go łatwo złowić: przez to często staje się pastwą lisa, lub innego drapieżnika. W końcu września, stare i młode cietrzewie łączą się w niewielkie stadka i zaczynają siadać na drzewach; zaś po wypadnięciu śniegów, łączą się w większe stada, ale najczęściej cietrzewie i cieciorki oddzielnie. Tak przepędzają zimę. W czasie odwilży lub przy niewielkich mrozach można je spotkać na drzewach, ale w wielkie mrozy, a szczególnie w czasie zamieci, zlatują na ziemię i zakopują się w śniegu.

Pożywieniem cietrzewia wiosną są pączki drzew, szczególnie brzozy; latem owady, a głównie jagody i zboża jare. Jesienią, gdy sprzątnięto jarzynę,

---

on bardzo interesowany, a pewnieś pan zapomniał dać mu coś na piwo.

— To prawda. A wieleż się tu daje zazwyczaj?

— Pięć franków.

Nasz poczciwiec usunął się nieco na bok, a wydobywszy z kieszeni olbrzymią pięciofrankówkę, zbliżył się do rzekomego ober-jegra i wsunął mu ostentacyjnie pieniądz w rękę ku niebywałej radości deputowanego i jeszcze jednego z gości, który był powiadomiony o całym tym wypadku. Książę, obserwujący również całą scenę, nie mógł się powstrzymać od śmiechu i całe zgromadzenie porwane było wkrótce paroksyzmem wesołości. Spostrzegłszy to arbiter etykiety, nadrobił miną i odszedł na bok, aby swój gniew wywrzeć na jednym z naganiaczy, który pozwolił trzymanemu przez się psu na innego rodzaju naruszenie etykiety; pies ten bowiem ośmielił się podnieść nogę na spodnie skarbnika generalnego, znajdującego się pomiędzy gośćmi prezydenta rzeczypospolitej.

Od tego czasu, jeśli jaki myśliwy jest proszony poraz pierwszy na polowania prezydenckie, dostaje, jako asystenta, jednego z urzędników, który ma za zadanie wtajemniczyć gościa we wszystkie zwyczaje i obyczaje, będące w użyciu na republikańskim dworze francuskim. Młodzi *attaché* ministeryum spraw zagranicznych przezwali tego asystenta *pronubus* na pamiątkę matrony rzymskiej, zwanej *pronuba*, a której zadaniem było wtajemniczać młode mężatki we wszelkie sekreta małżeńskie.

również i zimą, cietrzewie żywią się brzozowemi pączkami.

Trzeba tu wspomnieć o jesiennych tokach cietrzewi: trwają one od końca sierpnia do połowy lub końca listopada. Tokują tylko stare cietrzewie, nie dłużej jak pół godziny, zaczynając w parę godzin po wschodzie słońca. Najlepsze jesienne toki bywają w październiku, trwają czasem prawie cały ranek, ale tylko w mroźne i jasne dni. Cieciorki nie biorą żadnego udziału w tych tokach. W czasie tych jesiennych toków, cietrzewie, głównie bełkoczą, rzadko „czuszykają“, a wcale nie biją się między sobą.

* * *

Pierwsze wiosenne polowanie na cietrzewie jest z tak zwanem „podkradaniem się“, zaraz po rozpoczęciu się pierwszych toków. Zaczyna się ono, gdy w lasach i na mchach leżą jeszcze głębokie śniegi, a cietrzewie już zaczynają wylatywać na brzeg lasu i przysłuchiwać się cichemu jeszcze i niepewnemu odzywaniu się starego tokowika, przewodnika stada. Często się zdarza, że stado cietrzewi, szczególnie niezbyt wielkie, zupełnie się rozbija i cietrzewie siedzą na drzewach pojedynczo, w znacznej nieraz odległości jeden od drugiego, co bardzo sprzyja podkradaniu się do nich. O tej porze roku, śnieg już osiada, a w nocy zamarza i pokrywa się skorupą, po której można wygodnie chodzić, często przez cały ranek. Jest to więc najlepszy czas, na pierwsze wiosenne polowanie. Zależy ono na tem, żeby, spostrzegłszy jednego lub parę cietrzewi, siedzących na drzewie, podejść do nich na strzał. Zatem polowanie to jest możliwe tylko wtedy, gdy jest już dość światła, żeby zdaleka można było spostrzedz cietrzewia, siedzącego na drzewie. Można atoli zaczynać polowanie, gdy jest jeszcze ciemno, jeżeli się poprzednich dni zauważało, dokąd cietrzewie wylatują. Podkradając się, nie należy ani na chwilę wychodzić na otwarte miejsca, ale zawsze być za drzewem, krzakiem lub pagórkiem. Gdy tylko cietrzew zacznie bełkotać, trzeba podchodzić, a o ile możliwe, nie ruszać się, gdy milknie, co w początkach toków często się zdarza. Ponieważ rzadko się udaje podejść do cietrzewia na bliską metę, przeto trzeba mieć strzelbę, daleko i ostro bijącą, i używać grubego śrótu (Nr. 0 lub 00). Jeżeli się zaś celnie strzela kulą, to używać małokalibrowego sztucera.

Włodzimierz Korsak.

(C. d. n.).

NOTATKI MYŚLIWSKIE Z INDYJ

przez

Józefa hr. Potockiego.

(Ciąg dalszy).

2-go marca. Ciemna noc jeszcze była, gdy zajechali po mnie dwaj oficerowie, z którymi w wilią się zaznajomiłem, mający zabrać mnie na antylopy. Z niemałą ciekawością jechałem na to pierwsze w Indyach polowanie. Po godzinie jazdy słońce weszło, odkrywając niezwykły krajobraz. Jak daleko okiem sięgnąć, z obu stron drogi równina, żółtą, spaloną, wysoką trawą pokryta, gdzieniegdzie naga, jak step chersoński, czasem karłowatem krzewem porosła. Ulubione to miejsca wypasu indyjskiej antylopy (Antilope cervicapra, po angielsku black-buck). Zwyczajna to zwierzyna w Indyach, zamieszkująca przeważnie rozległe równiny w środkowej części półwyspu.

Niebawem ujrzeliśmy kilka sztuk, pasących się o kilkaset kroków od drogi. Rozdzieliliśmy się na dwie partye: obaj oficerowie poszli w jedną stronę, ja zaś z przydanym mi „schikarim“ („schikari“ po hindustańsku oznacza myśliwy to, co u nas „chłop myśliwy“), który konno mi towarzyszył, drugą stronę zająłem. Poluje się w ten sposób, że schikary konno antylopy okrąża i stara się je podjechać, zakrywając myśliwego, który trzymając się puśliska, za koniem postępuje; ostrożny bowiem zwierz, mniej na konia, niż na człowieka, piechotą idącego, zwraca uwagę. Ledwo uszliśmy kilkaset kroków, step przed nami jakby ożył. Wszędzie, gdzie okiem rzucić, stada antylop po kilka i kilkanaście sztuk; niektóre spoczywają jeszcze w wysokiej trawie, z której wystają, jak świdry, rogi kozłów.

Kozły ślicznie ubarwione, czarne, z białemi brzuchami, łanie rudawe, do danielic podobne. Im kozioł starszy, tem szerść ma czarniejszą. Kozły pasą się zwykle pojedynczo lub po kilka razem, otoczone woddali stadem łań, czujnych małżonek, które zbliżające się niebezpieczeństwo wypatrują i pierwsze dają hasło do odwrotu.

Śliczny to widok, gdy stado antylop poczyna uciekać: najprzód jedna, potem druga, trzecia, wreszcie wszystkie, skaczą pionowo w górę ogromnemi susami, nieprawdopodobnie wysoko, jakby potężną sprężyną podrzucane, potem przechodzą w wolny galop, wreszcie w szalony pęd i w dzikim nieładzie znikają z oczu. Mimo mnogiej liczby sztuk, które się widzi, podejść je na możliwą do strzału odległość niełatwo, szczególnie w miejscowościach, gdzie często na nie polują.

Do pierwszych trzech kozłów—do łań bowiem się nie strzela—chybiłem na czysto: na niezmiernej równinie, w gorejącym blasku palącego słońca, każdy przedmiot tak ostro i wyraźnie się na widnokręgu rysuje, że dystans 150 — 200 kroków wygląda na 80; strzelałem daleko i miałem nowy ekspres pierwszy raz w ręku, do tego chodzenie w wysokich, około nóg okręcających się trawach, pomiędzy dziurami w ziemi, od gorąca pękającej, ogromnie jest męczące. Szłapak mego „schikara“ przyzwyczajony do podobnych spacerów, szybko się posuwał, musiałem, trzymając się puśliska, kłusem biedz, by mu kroku dotrzymać. Było już blizko południa, słońce paliło niemiłosiernie; niezbyt rad z tego początku, zziajany i spocony, myślałem o powrocie, gdy ujrzeliśmy na odkrytem zupełnie miejscu pojedyńczo pasącego się kozła. Ślicznie wyglądał, czarny, aż lśniący prawie, wysokie rogi szkliły się w promieniach słońca, jakby z metalu. Zaczęliśmy go okrążać, zpoczątku szerokie zataczając koła, potem coraz je zwężając, mniejwięcej w ten sposób, jak się lisa sankami podjeżdża. Musiały mu się nasze ewolucye dziwnemi wydawać, nie spuszczał nas bowiem z oka, a chociaż nie uciekał, zwolna, lecz ciągle się przed nami posuwał. Musieliśmy, zamiast zwężać, szybko coraz szersze koła zataczać, by mu drogę zastąpić. Nie wiem jaką przestrzeń w ten sposób, do konia przytulony, przebiegłem; pot lał się ze mnie strumieniami, czułem, że już daleko nie ujdę. Wreszcie przecięliśmy mu drogę; kozioł zwolna, z podniesioną głową, ku nam się posuwał. Raptem, o jakie 120 kroków, czy mnie za koniem zoczył, czy odblask lufy go przestraszył, zwrócił się nagle i począł zmykać, tym razem na dobre. Na los szczęścia prawie strzeliłem... Rulował w ogniu, dostawszy kulę w łeb, poza słucha — strzał więcej szczęśliwy, niż zręczny. Piękna była sztuka; z radością pośpieszyłem, by oglądnąć zdobycz, którą przywołani coolis (tragarze, najniższa kasta Hindusów) wzięli na barki do naznaczonego miejsca, gdzie mieliśmy około południa się spotkać. Tu zastałem już mych towarzyszów, którzy też jednego kozła przynieśli. W „bungalowie“,

czyli domku zajezdnym, czekało nas mile widziane śniadanie, poczem parugodzinna siesta i około 4-ej ruszyliśmy znowu, każdy w swoją stronę, lecz w inne miejsca, niż rano i nie piechotą, lecz w dwukolowych, chrustem zakrytych i wołami zaprzągniętych wozach. Łatwiejszy to sposób polowania, w każdym razie mniej męczący, a przytem i zwierzę łatwiej można podjechać niż podejść. Po południu jeszcze więcej sztuk widziałem niż rano; w jednem stadzie może sztuk—samych kozłów, kupką w oddali się pasących — ze dwanaście. Udało mi się jeszcze dwa rozciągnąć, z których jeden z niezwykle dużemi rogami. Śliczne to myśliwskie trofea—rogi czasem 24 cali długości dochodzą.

Gdy podjeżdżałem jednego, dwa wilki mignęły mi się w zaroślach, lecz tak szybko znikły w wysokiej trawie, ze strzelić nie zdołałem. Oficerowie też dwa kozły ubili, tak, że sześć sztuk mieliśmy na rozkładzie. Wracając, zabiłem z wózka lisa indyjskiego (Vulpes bengalensis), o połowę mniejszy, niż nasz lis, szary, jak zając.

Taki był rezultat pierwszego dnia mego polowania w Indyach.

(*C. d. n.*).

PUMA, CZYLI KUGUAR.

(Felis concolor).

(*Ciąg dalszy*).

Boddam Wetham, w dziele swem: „Przez środkową Amerykę“ podaje opis zdarzenia, opowiedzianego mu w Gwatemali i bardzo podobnego do tych wypadków, o jakich mnie samemu zdarzało się słyszeć. Oto, co pisze: „Wypadek, który chcę opisać, więcej zakrawa na cud, niż na realną prawdę, a zdarzył się on pewnemu drwalowi, cechującemu w lesie drzewa mahoniowe. Wracając po pracy do domu, poczuł on nagle, że o niego ociera się jakiś elastyczne zwierzę. Spojrzawszy na dół, zobaczył z przerażeniem pumę, która, podniósłszy w górę ogon i mrucząc, jak kot, obcierała się o jego nogi, obiegała go naokoło i przyglądała się mu swemi dzikiemi oczyma, jak gdyby drwiąc z niego. Biedny drwal szedł, drżąc i potykając się ze strachu, a straszne zwierzę kręciło się wokoło niego, przewracało i tarzało się po ziemi lub dotykało go łapą, jak kot igrający z myszą. Nakoniec drwal, nie mogąc dłużej wytrzymać męczącej go niepewności, krzyknąwszy, co miał siły, uderzył zwierzę toporem. Puma odskoczyła na bok i przywarowała na ziemi, warcząc i pokazując zęby, lecz w chwili, kiedy zdawało się, że już chce się rzucić na człowieka, pokazał się jego towarzysz, który, usłyszawszy krzyk, spieszył z pomocą i puma, wydawszy głośny ryk, zniknęła w gęstych krzakach“.

Jeżeliby nawet w tem opowiadaniu była jaka przesada lub niedokładność, to w każdym razie godnem jest uwagi podobieństwo faktów, obserwowanych w krajach, tak od siebie odległych, jak Patagonia i środkowa Ameryka. Nie ulega wątpliwości, że w Gwatemalii jest mało pum i że one tam zwykle unikają ludzi, jak zresztą we wszystkich miejscowościach, gdzie je tępią i prześladują. Lecz gdyby analogiczny wypadek zdarzył się w pampasach, gdzie lepiej znają charakter tego zwierzęcia, niktby nie powiedział, że puma igrała z nim, jak kot z myszą, lecz że bawiła się, jak domowy kotek z dzieckiem. W pampasach pieszczoty pumy nie przestraszyłyby człowieka i nikt nie pomyślałby nawet, że zwierzę może rzucić się na niego z nieprzyjacielskiemi zamiarami, nawet wtedy, gdyby niechętnie lub surowo przyjął jego prowokacyę do pieszczot.

Z dzieła Clavigero: „Hist. Kalifornii“, dowiadujemy się szczegółów o stanie tego kraju za czasów pierwszych misyonarzy, którzy się tu osiedlili w końcu XVII wieku. Podług słów autora, nie było tam ani niedźwiedzi, ani jaguarów, które zapewne wcześniej były wytępione; za to pumy rozmnożyły się w takiej ilości, że literalnie zapełniły cały półwysep.

Zakorzeniony indyjski przesąd nietylko nie dozwalał zabijania pum, ale nawet zabraniał niepokoić je jakimkolwiek sposobem. W rzeczywistości egzystencya krajowców w znacznej mierze zależną była od chciwego krwi, usposobienia pumy; obserwowali oni lot sępów i w miejscach, na które się spuszczały te ptaki, znajdowali prawie napewno trupa zwierzęcia, zabitego przez pumę. Wszystkie, sprowadzone przez misyonarzy, domowe zwierzęta, były bardzo prędko wyduszone przez właściwych gospodarzy tego kraju, to jest przez pumy. Wszelkie protesty i nauki jezuitów nie zdziałać nie mogły; indyanie, choć przyjmowali chrześcijańską wiarę, zachowywali uparcie swe przyjacielskie usposobienie dla pum, czyli świętych czimbików, jak nazywali te zwierzęta. Skutkiem tego, misyonarze pędzili bardzo nędzne życie, często cierpiąc głód i zadawalniając się jedynie zapasami, jakie im przysyłano od czasu do czasu z odległych kolonij meksykańskich. W przeciągu wielu lat nie udawało się misyonarzom ani wykorzenić przesądu indyan, ani zmienić na lepsze warunków ich życia. Nakoniec w r. 1701 stanął na czele misyi niejaki Ugarte, o którym Clavigero mówi, jako o człowieku z żelazną energią, a przytem śmiałym i fizycznie zahartowanym. Dla prędszego i łatwiejszego przyswojenia przez krajowców wykładanych im zasad cnotliwego życia, uciekał się on nawet do okładania kijem, jeżeli tylko zauważył, że słuchacze żartują sobie albo z jego morałów, albo z omyłek, jakie popełniał, prawiąc w miejscowym języku.

Tak samo, jak jego poprzednicy, i Ugarte nie mógł skłonić Indyan do tępienia pum, ale on był człowiekiem silnej woli i wierzył w skuteczność dobrego przykładu; doczekał się też nakoniec dobrej sposobności.

Jadąc pewnego razu przez las, spostrzegł zbliżającą się spokojnie pumę. Zeskoczywszy z muła, podszedł na spotkanie zwierzęcia i podniesionym z ziemi kamieniem, tak celnie i silnie ugodził pumę, że ta upadła ogłuszona. Dobiwszy ją, zakonnik zmiarkował, że została mu do wykonania najtrudniejsza część zadania, gdyż powodzenie mógł mieć zapewnione tylko, przywiózłszy do wsi indyjskiej zwierzę jeszcze ciepłe i krwawiące, a muł nie chciał w żaden sposób podejść do niego. Lecz Ugarte przezwyciężył i tę przeszkodę: częścią podstępem, a częścią przez siłę umieścił pumę na grzbiecie muła i tryumfalnie wjechał do wioski. Z początku Indyanie myśleli, że to tylko podstęp ze strony ich ojca duchownego, który zawsze namawiał ich do tępienia pum. To też, stojąc w oddaleniu, zaczęli z niego podrwiwać, że znalazł zwierzę już zdechłe, lecz kiedy podeszli bliżej i przekonali się, że puma była jeszcze ciepła, a z ran sączyła się świeża krew, osłupieli ze zdziwienia i byli pewni, że ojciec duchowny zaraz skona w ich oczach. Tak silną była u nich wiara, że każdy, kto zabije pumę, musi zaraz i sam opuścić ten świat. W danym wypadku przepowiednia nie sprawdziła się, co wywarło na indyanach wielkie wrażenie i odtąd wpływ Ugarty zwiększył się stokrotnie. Nakoniec pomału dobił się tego, że i oni zaczęli zabijać świętych czymbików.

(*Dok. nast.*)

Ze wspomnień starego myśliwego.

Polowanie na kaczki. Zarys ich natury i zwyczajów.

(*Ciąg dalszy*).

Ci, co umieją wabić i podchodzić zwierzynę, piętnują takie polowanie pogardliwem mianem: „to chłopskie polowanie" niech tam sobie będzie i cygańskie, nietylko chłopskie, ale że przyjemne, to przyjemne, a nieraz i korzystniejsze od innego — pokażę to później na przykładzie, że nietylko chłopom, ale i wykształconym, choć niemyśliwym, sprawia wielką przyjemność. Oprócz wabika na jarząbki, zresztą nie używałem żadnego, a umiałem wabić do 20 sztuk różnych stworzeń ustami, niektóre z pomocą ręki. Albo to mała jest satysfakcya zwabić wilka albo lisa, takich chytrych, przemądrych nicponiów? a choćby tylko biednego jarząbka, którego stary, wytrawny strzelec za niemożliwego do zwabienia osądził?

Kto się nie boi zimna w październiku, listopadzie, kiedy już przymrozki ścinają brzegi wód stojących, ten może mieć doskonałe polowanie przedewszystkiem na bagnach, wówczas kaczki są ciężkie, bo żerne, rwą się z pod nóg, a i pieczyste z nich wówczas nie do pogardzenia. Za moich młodych lat nieraz, polując w tej porze, bo inaczej to bardzo trudno o kaczkę, spotkałem w październiku stadko podlotów krzyżówek, które zaledwie podrywać się mogły. Raz jeden polowałem z gończemi; oprócz przyjemności słuchania gonu psów, zreszą niewielka uciecha; jeżeli jeszcze trafi się na podloty, można zabić kilka sztuk, ale przemykające pomiędzy kępami klapacze łatwo przepuścić, łatwo chybić i nie trudno rozbić, poczem pokaże się, że było to pisklę, niewarte strzału. Nie, to marne polowanie, przynajmniej dla mnie, może być tylko jakie takie dla tych, co się boją wejść w bagno. Wogóle polowanie na kaczki bez udziału wyżła, nie wiele mnie zajmowało, próbowało się jednak tego potrosze, np. na ciągach wieczorem, — plon niewielki, 2, 3, 4, najwyżej, a komary tną bez miłosierdzia; — słyszałem tylko o jednym wypadku, że po strzale spadło 7 kaczek. Nie polowałem zaś nigdy z naganką, choć miałem już raz przekoszoną linię, ani skoro świt na zloty; dużo zachodu, dużo kłopotu i w dodatku można być postrzelonym, to i to niewielka satysfakcya. Przedstawię tylko jeszcze na paru przykładach jeden rys natury kaczek, co w danym razie może się przydać myśliwym. I tak: młode kaczki, od pewnego czasu już dobrze latające, tak, że już nawet dalsze odbywają wędrówki, nie ufają jednak swojemu lotowi, nie mogąc zapomnieć tych czasów, kiedy to wyłącznie tylko nurkowały lub kryły się w gąszczach. Razu pewnego, dochodząc lasem do sporego jeziorka, utworzonego z deszczów w roku zeszłym, spędziłem czarnego bociana; ten, pociągnąwszy ponad wodą, spłoszył 7 cyranek. Zerwały się odrazu w górę i poszły na las; niezadługo wróciły, a nie widząc mnie, zapadły przy moim brzegu, podbiegłem do nich i, gdy zaczęły odpływać na środek, strzeliłem; przewróciła się starka, młódki w tej chwili dały nurka; że brzegi jeziorka były zupełnie nagie, tylko w jednym końcu szyja porosła była trawą, tam je więc znalazłszy, wystrzelałem wszystkie. Rwały się bardzo blizko i tak nieśmiało, jak gdyby dziś dopiero pierwszy raz próbowały lotu.

Drugi wypadek miałem w roku bardzo suchym, niezmiernie więc trudno było o kaczkę. Wracając z łąk wieczorem, spostrzegłem trzy krzyżówki, ciągnące wysoko, w moją stronę. Przystanąłem, aby zobaczyć, gdzie też zapadną; gdy się zbliżyły do naszych łąk, szybko zaczęły się spuszczać, wreszcie zapadły w zupełnie suchej łące, w wysokiej i gęstej trawie; wszystkie wziął pies bez strzału.

Na tem zakończyłem polowanie na Podlasiu. W r. 1863 osiadłem w pow. hrubieszowskim, gdzie przemieszkałem lat trzydzieści kilka nad samym Bugiem. Tu zastałem kraj, mocno różniący się od Podlasia, okolica wzgórkowata, zrzadka usiana małemi jeziorkami, bagienkami innej natury, niż poprzednie i nie tak obfitującemi w kaczki; nad samym zaś Bugiem jest pełno dawnych łożysk niezbyt głębokich, przerosłych trzciną, a przeważnie wysokim sitnikiem. Kaczek tu niewiele, zwykle poluje się na nie w ten sposób, że pies bobruje w jeziorze, a myśliwy, idąc brzegiem, strzela, jeśli zastanie je lotne, a i to korzyść niewielka: gorzej nierównie, gdy się napotka nielotne, szczególniej cyranki, szkoda wówczas fatygi, bo ani pies, ani myśliwy nic im nie poradzi; dla czego zaś—opisałem to na początku. Jedyne tylko przyjemne polowanie nad Bugiem miałem w kwietniu, na kaczory na wabia, opowiem je dla porównania z tem, jakie opisałem nad Wieprzem o tej samej porze, w zupełnie podobnej miejscowości, z tą tylko różnicą, że wówczas wabić nie umiałem.

K. Dębicki.

(*Dok. nast.*)

Kłusownictwo we Francyi.

(*Ciąg dalszy*).

Dawniej członkowie stowarzyszeń kłusowniczych podróżowali w wózkach, łatwo więc było ich schwytać, jeśli tylko zadenuncyowano ich pojawienie się. Dziś korzystają oni z szybkich środków lokomocyi, podróżując w samochodach lub pociągach kolei żelaznych. Dzięki temu dziś operują w jednej okolicy, a nazajutrz w innej, odległej o kilkadziesiąt kilometrów i więcej.

Towarzystwa te płacą od siebie wszelkie koszty procesów i kary, jakim podlegają ich członkowie, a nawet posiadają kasę wsparć, która wspomaga uczestników, skazanych na więzienie, lub też ich rodziny.

Ubrani w odzież małoznaczną, ci profesyoniści używają wszelkiego rodzaju sieci (*trainau, pentière, panneau* i t. p.), które rozciągają wzdłuż lasu; w razie potrzeby urządzają nawet naganki, aby zwierzynę w sieci zapędzić. Zwierzyna, chcąc wrócić do lasu, wpada w sieci, gdzie jeden z kłusowników zabiera ją do worka. Używają też systemu sieci, tworzących rodzaj ogrodzenia, otwartego z jednej strony, gdy z przeciwnej urządzony jest rodzaj kurytarza, w którym gromadzi się zapędzona zwierzyna, gdzie staje się łupem raubszyców. Obchodzą oni linie w lesie i zauważywszy na nich przesmyki, zastawiają tysiące wnyków z drutu mosiężnego. Zrana zbierają złowioną zwierzynę, lecz wnyki pozostawiają na miejscu i tym sposobem tępienie łownego zwierza nie ustaje z chwilą zniknięcia wnykarzy. Ażeby ściągnąć zwierzynę do wnyków, robią oni odpowiednią powłokę. Na grubą zwierzynę, jak jelenie, sarny i t. p., używają wnyków z grubego, mosiężnego drutu i przywiązują je do silnych i odpowiednio zgiętych drzewek, które służą za sprężynę. Uniesione w górę jelenie lub sarny, nie podlegają zniszczeniu przez czworonożne drapieżniki, a pozbawione oparcia, nie mogą się z wnyka ukręcić. Wnykarze używają często za powłokę macicy samic, złowionych uprzednio i zaduszonych.

Towarzystwa te dają swym członkom podręczni-

ki, w których opisane są sposoby przyrządzania i użycia rozmaitych przynęt.

Do operowania w polu kłusownicy wybierają noce ciemne, gdy przeciwnie — w lesie wolą noce jasne. O świcie starają się przewieźć do miasta rezultaty swoich niecnych łowów, ukryte najczęściej w workach z gałganami. Co może poradzić strażnik przeciw bandzie, złożonej z ośmiu lub dziewięciu kłusowników. Sam jeden nie jest w stanie przeciwdziałać złoczyńcom.

Potrzeba napisać całe tomy, aby dać pełny obraz wszelkich podstępów, używanych przez kłusowników. Między innemi opowiadano mi o jednym sposobie, użytym przez towarzystwo kłusowników z Reims, jedno z najpotężniejszych stowarzyszeń we Francyi, które sprzedaje zwierzynę, przeznaczoną prawie wyłącznie na konserwy. Około tuzina tych złodziejów operowało w listopadową noc w lasach Saint-G... Przybyli oni samochodem i wkrótce zrekrutowali z pomiędzy miejscowych kłusowników cały, niezbędny personel. Zdobycz ich była obfitą, a między innemi dostało im się pięć łań i jeden śpiczak (jeleń). Zwierzynę tę należało przewieźć do miasta, co nie było rzeczą łatwą, biorąc na uwagę niezwykłą czujność straży miejskiej. Trudność ta jednak nie zakłopotała zbytnio pomysłowych kłusowników: skoro świt, strażnicy miejscy spostrzegli przejeżdżający wóz czyściciela, okryty grubem płótnem, z pod którego sterczały cztery nogi końskie, gdy z przodu wyglądał kawał mięsa, napełniający całe powietrze nieznośnym odorem. Wóz kilkakrotnie spotykał strażników, którzy przyśpieszali kroku, zatykając sobie nosy i nie przypuszczając nawet, że obok przejeżdża wóz, napełniony zwierzyną.

Zbrodnia kłusownictwa nie jest objęta kodeksem kryminalnym: odzielna ustawa skierowana jest ku jego ukróceniu, a wskutek tego nie stosuje się tu areszt tymczasowy, jak przy zwykłych występkach kryminalnych; nie wolno jest więc aresztować kłusownika. Uważam za stosowne wymienić tu kary, jakiemi karze kłusownictwo francuskie Prawo z 1844 roku. Według paragrafu 1 artykułu 11 podlega karze 16 do 100 fr. ten, kto poluje bez licencyi, a na ziemiach, na których sprzęt nie został jeszcze dokonany, podług par. 2, kara ta może być zdwojoną; to samo stosuje się do miejsc ogrodzonych, nieprzylegających do osad zamieszkanych. Jeśli zaś teren ogrodzony przylega do domostw, to według art. 13 polowanie w takich miejscach bez upoważnienia właściciela jest karane grzywną 50 do 300 fr. lub więzieniem od 6 dni do 3 miesięcy. Jeśli polowanie w takich miejscach odbywa się w nocy, to grzywna podnosi się od 100 do 1,000 fr. lub więzienie od 3 miesięcy do 2 lat. Wszelkie wykroczenia przeciw dekretom prefekturalnym, ograniczającym polowanie na ptactwo przelotne, lub podczas śniegu, lub z chartami, przeciw ochronie ptaków lub tępieniu zwierząt szkodliwych — są karane na zasadzie art. 11 nº 3 grzywną 16 do 100 fr. Również i niszczenie jaj bażantów, kuropatw, przepiórek i t. p. na gruntach cudzych podlega grzywnom w wysokości 16 do 100 fr.

(*Dok. nast.*).

DO „POLOWANIA W PERSYI“

słów kilka o baranach i kozłach kaukazkich.

(*Dokończenie*).

Autor, wspominając o koźle, Bezoara nadmienia, iż nawet zamieszkuje on południowy Kaukaz, nietylko spotykamy go na południowym stoku kaukazkiego grzbietu, choć w mniejszej ilości natrafiamy go we wschodnio-północnym Dagestanie, w Lezginii, Osetii, Czeczenii i w górach Andyjskich, gdzie go skalnym lub kamiennym kozłem zowią.

Czem dla Alp, żyjący na Monte Rosa „ibex“, dla Pamirów koziorożec „kijk“ (*Capra sibirica*), tem dla



Capra aegagrus.
Kemas wawy-atu.
Capra sibirica.
C. Falconeri. C. jemlaica. C. Falconeri.

Persyi, Armenii i Kaukazu poniekąd jest *C. aegagrus*. Piszę poniekąd, gdyż prócz bezoara, znajdujemy tam w znacznej ilości jeszcze trzy odmiany dzikich kozłów, noszących wspólne z bezoarami cechy, a w części i te same zamieszkujące, co on, regiony. Jakkolwiek trudno ściśle oznaczyć granice, zamieszkane przez te trzy odmiany, to naturaliści przyznają zachodnią część Kaukazu, a więc całą Czerkiesię aż do



Capra caucasica.
Capra cylindricornis.
Capra cylindricornis.

gór Elbrusa i Kasztan-Tau, kozłowi Sewercowa (*C. Sewerzowi*); środkowy Kaukaz, zatem całą Kabardę z Kazbekiem i Barbałem *C. caucasica*, a wschodni Kaukaz t. j. Czeczenię, Osetię, Dagestan *C. cilindri-cornis.* Wszystkie te odmiany noszą u górali jedno nazwa-

nie „turów“ i tak ubarwieniem, jako też formami i charakterem, są tak do siebie zbliżone, iż tylko ściślejsze badania naturalistów wykryły ich odrębne cechy. Siłą, budową i swą masywnością *C. cilindricornis* przewyższa swych współbraci i pierwsze między niemi zajmuje miejsce. Rozmiary tego „tura“ dosięgają 9 pudów wagi, wysokość w kłębie około 96—100 i więcej ctm., objętość piersi (grubość) 122 ctm., długość bez ogona 170 ctm., ogon 13 ctm. Silny korpus na muskularnych, niewysokich osadzony nogach, pokrywa szerść gładka, bez odmian, brunatna, z mało wydzielającym się, ciemniejszym paskiem na krzyżu, piękną, wesołą główkę z szeroką i długą, czarną brodą, ozdabia para okrągłych, mocno w łuk wygiętych rogów, z końcami (ku środkowi) wewnątrz zwróconemi. Rogi, ważące z czaszką 30 funtów, dochodzą nierzadko 70 ctm. długości, a ich objętość przy czaszce 25—30 ctm. się równa. *C. caucasica* posiada zaś rogi więcej ku wewnętrznej części spłaszczone, mniej łukowate i z końcami na zewnątrz zwróconemi, posiadają wyraźniejsze karbowanie, które u *C. cilindricornis* często zanika, również kolor rogów ciemniejszy i nie tak silnej, jak u pierwszego, budowy, co i *C. Sewerzovi* daje się zauważyć łatwo. U tych dwóch spokrewnionych ściśle z sobą kozłów szerść widzimy więcej płowego koloru, choć i brunatną zauważyć można niekiedy. Samice u wszystkich tych odmian odróżniają się mniejszym wzrostem, mało odznaczającą się bródką i lżejszemi różkami. Ulubionem miejscem przebywania tych kóz są skalne wyżyny po za obrębem lesistych gór, dosięgające lodowców. Zimą stada spuszczają się na podnóża gór i wtedy tylko stają się zdobyczą górali, z zamiłowaniem na nie polujących. W 1901 r. zwiedzając północny Kaukaz, lubowałem się widokiem tura, spotkanego na Stołowej górze, niedaleko wojenno-gruzińskiej drogi, który jednakże do strzału nie dopuścił mnie. Spotkałem go na wysokości 5,000 stóp, a ślady wskazywały mi, że całe stado przebywać tam musiało. Choć ich mięso nie należy do smacznych, służy jednakże za dobry pokarm, a skóry cenią się dość wysoko i dochodzą ceny 12 do 15 rb.; rogi zaś po 4—8 rb. kupowane są na ozdoby. W wielu miejscowościach Kaukazu północnego krzyżują tatarskie kozy z turem. Widziałem taki osobnik, pasący się w trzodzie owiec. Zachował on po matce ciemność barwy,—po ojcu kształty budowy, płochliwość, ostrożność i żywość. Mówiono mi, że w okolicach Piatigorska jakiś Kabardyniec posiada całe stado tych kóz i kozłów; odznaczają się one dobrocią mięsa i wydajnością mleka, używanego na sery (bryndzę). Władikaukaz prowadzi znaczny handel skórami i rogami turów, tam też proponowano mi kupno żywego tura wyrosłego, żądając 50 rb. za niego; podobno łatwo daje się oswajać i żyje również na nizinach.

Wł. Czerniejewski.

Kongres Myśliwski.

W lipcu r. b. obradował w Chrystyanii skandynawski kongres myśliwski, połączony z powszechną wystawą psów krajów północnych. Był to już drugi tego rodzaju kongres.

W teraźniejszym uczestniczyli delegaci wszystkich krajów i przedstawiciele różnych języków skandynawskich. Najwięcej osób przybyło z Norwegii oraz Szwecyi, następnie z Danii, a nawet z Filandyi. Delegatami byli ludzie znani i zasłużeni w dziedzinie łowiectwa. Między przedstawicielami szwedzkimi był łowczy królewski, hr. Tage Thott-Skabersjo, w którego dobrach polował przed kilku laty, jako gość, zaproszony cesarz niemiecki; dalej wielce zasłużony zwolennik hodowli psów myśliwskich szwedzkich, hr. A. P. Hamilton-Strömsholm, oraz znany specyalista, znawca psów na łosie, łowczy królewski, Nordlund-Norrland. Z Norwegii byli zaproszeni, jako goście honorowi, badacz bieguna północnego, profesor Nansen i kapitan Otto Swerdrup, którzy zwracali na siebie powszechną uwagę uczestników kongresu.

Między referatami, odczytanemi na kongresie, było sporo spraw, obchodzących cały ogół myśliwych. Rozprawy zagaił pułkownik Gregersen z Norwegii, czytając „O społecznem i prawnem stanowisku myślistwa na początku XX-go wieku“. Prelegent, który we wnioskach swych uwzględnił głównie stosunki norweskie, wystąpił przeciw jednemu z dążeń opinii publicznej, coraz silniej w ostatnich czasach ujawniającemu się powszechnie. W grubej mianowicie nieświadomości zbawiennego wpływu, wywieranego na zwierzostan przez racyonalnie uprawiane myślistwo, opinia ta dąży do zupełnego zniesienia wszelkich ograniczeń, mających na celu ochronę zwierzyny, i do przekształcenia prawa myśliwskiego na powszechne zezwolenie na polowanie, dostępne dla wszystkich obywateli kraju bez wyjątku i bez obostrzeń prawnych. Objaw ten trzeba tembardziej zwalczać, że nawet obecnie istniejące przepisy prawodawstwa myśliwskiego aż nadto mało troszczą się o to, żeby interesy skarbowych lasów, a zwłaszcza posiadaczy prywatnych lasów, były dostatecznie zabezpieczone, mimo iż hodowla prawidłowa zwierzyny jest rzeczą bardzo kosztowną.

W związku z tem mówca zwraca uwagę na szczególne „paragrafy o drapieżnikach“ w nowerskiem prawie ochrony zwierzyny, które poprostu popierają kłusownictwo w całym kraju na jego nieszczęście. Jeden z tych paragrafów opiewa, że *każdy* obywatel kraju jest upoważniony do tępienia tych gatunków drapieżnych, których zabicie pociąga za sobą nagrodę rządową, i to bez względu na to, czy polowanie takie odbywa się na *obcym*, czy na własnym gruncie. Skutek realny takiego prawa w praktyce myśliwskiej prowadzi do tego, że właściciel rewiru przestaje być panem swego własnego terenu, a natomiast wszechwładnie tam rządzi kłusownik, który, pod pozorem tępienia drapieżników, bije, rozumie się, wszystko, co mu pod rękę przyjdzie. W rewirach, obfitujących w grubą zwierzynę, bieda z tego powodu w ostatnich latach doszła do takich granic, że najhojniejsi panowie, niedbający o wartość pieniężną zwierzyny, stracić musieli ochotę do dalszych ofiar na rzecz bezużytecznej „hodowli dla—obcych“.

Na równym poziomie z paragrafem o drapieżnikach stoi inny przepis nowego prawa myśliwskiego, podług którego myśliwy ma prawo zabijać zwierzynę, błąkającą się „bez właściciela“. Według paragrafu 11 „*Jagtlov'u*“ ubić można zarówno łosia, renifera, jelenia, jak i — zająca, gdy, jak zaznaczono wyraźnie, zwierzyna jest nietylko postrzelona lub raniona, ale nawet kiedy ona przekracza granicę swego rewiru, wskutek prześladowania na polowaniu. Prawo zastrzega wprawdzie, że stwierdzenie okoliczności zabicia zwierzyny wymaga w każdym wypadku dowodu prawdy lub zeznania świadka; wszakże urząd policyjny zadawala się byle jakiem potwierdzeniem rzekomego świadka naocznego i na tem sprawa skończona; o takich zaś świadków i o takie dowody łatwo wystarać się może każdy kłusownik.

Z przyczyn powyższych prelegent domaga się zmian prawodawczych w ustawie myśliwskiej, zarówno co do przepisów o dobijaniu zwierzyny, jak i do paragrafów o tępieniu drapieżników, w możliwie najkrótszym czasie. Kongres przychylił się do tych wniosków i postanowił wystąpić bezpośrednio do Storthingu norweskiego z prośbą o reformę odpowiednią.

Z pozostałych rozpraw najwięcej zajęcia budził temat: „Znaczenie łosiów dla lasów“. Referent, dyrektor szkoły leśnej norweskiej, Saxlund, dochodzi do

wniosku, że pogląd na wielką szkodliwość łosiów dla lasów, który panuje obecnie powszechnie na północy, nie jest bynajmniej nowszej daty. Już w końcu XVII stulecia, gdy zaczęto w krajach północnych zaprowadzać prawidłową gospodarkę leśną, liczono się bardzo z poglądem prywatnych posiadaczy lasów, że trzeba tępić łosie wszelkiemi możliwemi sposobami. Wynikiem tego było wówczas bezwzględne dziesiątkowanie tego zwierza szlachetnego, który zaczął znikać z krajów północnych. Pomyślano tedy o środkach ocalenia łosiów.

(*Dok. nast.*).

Przemysł futrzany na Kamczatce.

Angielski agent handlowy na Syberyi nadesłał sprawozdanie o handlu futrem na Kamczatce, do której dążą Japończycy. W sprawozdaniu tem, obecnie ogłoszonem, wspomina agent, że handel futrami był tam dawniej zamienny wyłącznie, nie płacono bowiem za towar pieniędzmi, lecz innym towarem. Teraz jednak, jak opowiada konsul angielski, krajowcy wolą otrzymywać gotówkę za futro, ponieważ doszli do przekonania, że to, co im potrzebne, taniej nabyć mogą u rządu, aniżeli u handlarzy.

Mimo to, ciągle jeszcze znaczna część futer, przywiezionych na jarmark, szczególnie w Kamczatce północnej, zostaje nabyta drogą handlu zamiennego.

Główne stacye, na których uprawia się handel futrami i gdzie też znajdują się wielkie magazyny tego towaru, mieszczą się nad morzem Ochotskiem, noszą nazwy: Ayan, Ochotsk, Ola-Gichiga, Tigil, Bolszy Giresk, Petropawłowsk, Niżnia Kamczatka, Uka, Baronkorff-Bay, Anadir. Ostatnie ośm miejscowości leżą na wybrzeżu Kamczatki.

Ceny futer wahają się bardzo znacznie, zależnie od stacyi, na której się je kupuje. W Petropawłowsku jest wielu kupców, którzy silnie z sobą konkurują, tak, że cena futra wynosi tam o 50 % taniej, niż w innych miejscowościach.

Najważniejszemi przedmiotami, na które zamienia się futra, są: mąka, herbata, tytuń, towary płócienne, napoje alkoholiczne, ryż, kołdry, broń, proch, sól, noże i odzież gotowa. W Petropawłowsku ceny tych towarów są o 40 % droższe, niż we Władywostoku, a jeszcze dalej na północ są wyższe o całe 100 %.

Mąka przychodzi wyłącznie z Ameryki. Sprzedaż alkoholu jest tam wyraźnie wzbroniona przez rząd rosyjski, mimo to wszyscy handlarze sprzedają wódkę, ponieważ wiedzą, że za parę jej butelek mogą dostać najlepszych futer.

Kupcy otrzymują towar przez Władywstok lub przez Japonię na wiosnę, a następnej zimy rozsyłają do rozmaitych wiosek część swych towarów na kredyt. Po upływie zimy, zazwyczaj już w lutym lub marcu, krajowcy przynoszą skóry, a kupcy, którzy udzielili im kredytu, mogą sobie wybierać najlepsze sztuki z pierwszego transportu futer.

Na Kamczatce handlują głównie następującemi gatunkami futer: sobola, czerwonego lisa, białego lisa, modrego lisa, srebrzystego lisa (lisa syberyjskiego), niedźwiedzia, wiewiórki, wydry morskiej, psa morskiego (foki), gronostaja, rosomaka, wilka i białego zająca. Najdroższe są futra sobole, gdyż sobol kamczacki uchodzi za trzeci gatunek sobola pod względem jakościowej wartości. Pierwszy gatunek pochodzi z Jakucka, drugi — z Udskoi. Przeciętnowa cena futer w roku zeszłym była w przybliżeniu następująca:

Sobole	50 rb.	za sztukę.
Lisy czerwone	6 „	„
„ białe	4 „	„
„ modre	15 „	„
„ srebrzyste	150 „	„
Niedźwiedzie	10 „	„
Wydry morskie	600—900 rb.	za sztukę.
Psy morskie	5—8 rb.	za sztukę.
Rosomaki	5—7 „	„
Wilki	7—10 „	„
Gronostaje	40 kop	„
Białe zające	5 „	„
Wiewiórki	28 „	„

Dalej na północ futra są o jakie 20 % tańsze. Rząd bierze także futra zamiast podatków pieniężnych. Każdy mieszkaniec płci męzkiej, który ukończył już 21 lat życia, płaci rocznie rządowi 15 rb. podatku. Rząd posyła wtedy futra do Władywostoku, gdzie się je sprzedaje drogą publicznej licytacyi. Jeżeli sprzedaż daje wyższą sumę, to odsyła się przewyżkę do wsi odpowiedniej, a za te pieniądze nabywa się zapasy żywności na zimę. Pozatem udziela się ustawicznie wioskom wiadomości, jakie są ceny futer we Władywostoku, a podług tego reguluje się ceny na targach.

Skór sobolich jest zwykle na targu w Kamczatce rocznie około 7,000 sztuk. W roku zeszłym jednak, ponieważ w zimie padało niewiele śniegu, krajowcy rzadko mogli polować, przeto sprowadzono tylko 4,000 sztuk.

O ogólnym stanie handlu futrami w Rosyi donosi znowu konsul angielski z Rosyi wschodniej, że ceny futer tam znacznie spadają, przeważnie od 20 do 50%. Ponieważ w tych okręgach ludzie po większej części utrzymują się z handlu futrami, przeto sprawa ta ma dla nich ogromnie ważne znaczenie. Zdaje się, że i w tym wypadku wina spada głównie na nieszczęśliwą modę. Ale w znacznej części przyczyny szukać należy także w niezwykłej zręczności, z jaką obecnie naśladują sztuczne futra. Pod tym względem chemia współczesna dużo się przyczyniła do powodzenia, jakiem się cieszą sztuczne futra.

Obecnie można nadzwyczaj łatwo przemienić skórę zwykłego zająca na wspaniałego lisa ciemno-brunatnego, co pozna jedynie człowiek, zupełnie kompetentny, doskonały znawca tego towaru. Z tej przyczyny bywa teraz, że skórki królicze, a nawet szczurze, znajdują łatwo nabywców, a natomiast kosztowne gatunki futer, których nie można dostać po niższej cenie, leżą bez amatorów.

Sprawozdanie zaznacza, że wypchana skóra zwykłego lisa polarnego, która kosztuje pierwotnie tylko 10 szylingów, idzie do Lipska, gdzie przekształca się na lisa ciemno-brunatnego pierwszej klasy i dochodzi do ceny, wynoszącej 6 do 10 funtów szterlingów. W ten sposób zamieniają skórę wypchaną bobaka (świstaka) na sobola, królika przekształcają na — fokę, a nawet kret staje się w końcu często zwierzęciem bardzo drogocennem.

Jerz.

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Rady, 28 września. P. gubernator kaliski wydał dwa bezpłatne bilety dla stróżów przy miejscach ochronnych w dobrach Galewice.

P. gubernator siedlecki donosi, że w 1903 r. wyróżnił się wśród straży ziemskiej w prześladowaniu kłusownictwa, starszy strażnik radzyńskiej komendy, Andrzej Makulkin, który odebrał 13 broni. Rada postanowiła dać mu, jako nagrodę, zegarek srebrny z dewizką.

Posiedzenie Rady, 12 października. P. gubernator siedlecki zawiadamia, że polecił wydać bezpłatny bilet na prawo utrzymywania broni strzelcowi w dobrach Osieckich, Żórkowi.

Wydział Ochrony i polowań, z powodu wyczerpania sumy, wyznaczonej budżetem na rok bieżący, prosi o zwołanie Ogólnego Zebrania w celu załatwienia kwestyi tegorocznego niedoboru. Rada postanowiła zwołać Ogólne Zebranie na d. 26 października.

Dalsze posiedzenia Rady odbywać się będą co tydzień we środę.

Ministeryum rolnictwa i dóbr państwa odniosło się do naszego Oddziału w następującej sprawie. Ustawa myśliwska z 1892 r., obowiązująca w Cesarstwie, wykazała różne braki i przedstawia wiele trudności w zastosowaniu w praktyce—a tymczasem z różnych stron kraju napływały do ministeryum rozliczne skargi na nieposzanowanie prawa myśliwskiego i niszczenie zwierzostanów. By złemu zaradzić, skutecznie oddawna już zbierano materyały do nowego prawa łowieckiego dla całego państwa i ostatecznie specyalna komisya pod przewodnictwem Jego Cesarskiej Wysokości Wielkiego Księcia Sergiusza Mikołajewicza opracowała nowy projekt prawa myśliwskiego. Projekt ten do zatwierdzenia w drodze prawodawczej ma być przedstawiony w ciągu tegorocznej sesyi rady państwa, zanim to jednak nastąpi, Ministerium, pragnąc zebrać opinie rzeczoznawców, nadesłało ów projekt do naszego Oddziału, prosząc o rozpatrzenie onego i przedstawieniu swoich uwag. Rada ważną tę sprawę, bowiem nowe prawo będzie obowiązujące prawdopodobnie i w gub. Królestwa Polskiego, przekazała do szczegółowego rozpatrzenia Komisyi, do której zaprosiła pp. Wacława Puszkowskiego, Bronisława Wysockiego, Jana Sztolcmana, hr. Ksawerego Branickiego, Władysława Słonczyńskiego, Aleksandra Szwedego, Stanisława Lilpopa, Adolfa Korsaka i Józefa Zarembskiego. Pierwsze posiedzenie Komisyi odbędzie się 18 października. Komisya ma prawo zapraszać na posiedzenia myśliwych i hodowców zwierzyny, a działać będzie pospiesznie, bowiem ministeryum położyło nacisk na szybki zwrot projektu z uwagami.

Kronika Myśliwska.

(Prosimy Szan. Czyt. naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki)

W majątku Roś (gub. grodzieńska) hr. Stefana Potockiego odbyło się w d. 1, 3 i 4 października trzydniowe polowanie, w którem brało udział liczne grono myśliwych, przybyłych z Warszawy i z sąsiedztwa. Podejmowani ze staropolską gościnnością przez czcigodnego gospodarza, spędzili cztery dni częścią we wspaniałych borach roskich, częścią w starodawnym pałacu, gdzie liczne dzieła sztuki oraz cenne pamiątki po Stefanie Czarnieckim, budziły w nich wspomnienia zamierzchłych czasów. Polowaniom dodawała uroku obecność w lesie wilków, których trzy gniazda wychowały się w ciągu ubiegłego lata. Spóźniona jednak pora roku była przyczyną, że szkodniki te, włóczące się teraz, nie łatwo dawały się w kniei przydybać. Raz tylko strzelano do nich, lecz bez skutku, a innym razem para wilków przeszła przez nieobstawione stanowisko. Natomiast inne rodzaje zwierzyny zapłacić musiały obfitą daninę sprawnej drużynie myśliwskiej, czego dowodem piękny rozkład, na którym figurowały: 1 łoś, 26 lisów, 104 zające, 8 słonek i 1 puhacz.

Królem trzydniowego polowania był p. Franciszek Ejsmond, artysta-malarz z Warszawy, który zabił 5 lisów i 21 zajęcy. Łosia, pięknego dwunastaka, zabił p. Aleksander Szwede.

Nadmienić należy, że polowanie prowadzone było wzorowo pod energicznym kierunkiem nadleśniczego roskiego, p. Ignacego Sobertina.

D. 3, 4 i 6 października odbyło się polowanie w dobrach Jabłonna, hr. Augusta Potockiego. W leśnictwie Choszczówka zabito w 9 miotach: 4 rogacze, 163 zające, 6 kuropatw, 1 słonkę - razem 174 sztuk; w leśnictwie Bukowice w 10 miotach: 9 rogaczy, 263 zające, 2 lisy, 16 kuropatw --razem 290 sztuk; w leśnictwie Kąty w 10 miotach: 1 rogacza, 244 zajęcy, 2 kuropatwy — razem 247 sztuk. Wogóle padło w ciągu tych trzech dni: 14 rogaczy, 670 zajęcy, 2 lisy, 24 kuropatwy, 1 słonka, czyli 711 sztuk zwierzyny.

W lasach Szostaczka (gub. kijowska), dzierżawionych przez hr. Ksawerego Branickiego, odbyło się w d. 6, 7 i 8 października polowanie przy współudziale myśliwych, przybyłych z Warszawy i Galicyi. Strzelb było 8. Polowano pierwszego dnia od godziny 1 i pół (przy ulewnym deszczu), a ostatniego tylko do godz. 3 i pół. Na polowaniu tem zabito: 4 kozły, 71 zajęcy, 3 lisy, 71 słonek, 1 jastrzębia i 1 chruściela.

Trzeci dzień polowania był najlepszy, gdyż padło w nim 41 słonek.

Królem polowania był p. Michał Siemiradzki z Warszawy, który miał na rozkładzie 15 słonek i 11 zajęcy.

Drobiazgi myśliwskie.

Księgosusz wśród łosi. Donoszą nam z gub. mińskiej, że wśród łosi panuje tam księgosusz. W Ihumeńskiem i Borysoskiem znaleziono już 5 czy sześć sztuk padłych na tę zarazę.

Pilawin. Dowiadujemy się, że hr. Józef Potocki, właściciel parku w Pilawinie, udaje się w końcu bieżącego miesiąca do Hamburga po zakup nowych okazów do swego zwierzyńca. Hrabia ma zamiar nabyć jelenie perskie (*Cervus maral persicus*), które podobno nadeszly z Transkaukazyi do Hagenbecka.

Kuropatwy i zające. Od myśliwych z różnych stron kraju dochodzą do gazet polskich użalania na małą ilość kuropatw. Powodem tego jest susza, która niekorzystnie oddziaływa na kuropatwy. Za to zajęcy jest w roku bieżącym bardzo wiele. Polowanie więc jesienne i zimowe na koty nastręczy myśliwym dużo przyjemności.

Dzierżawa polowań. W d. 18 października, o g. 1-ej po południu, odbędzie się w radzie miejskiej dobroczynności publiczej (Erywańska 2) licytacya przez daklaracye opieczętowane, bez przetargu ustnego, na dzierżawę polowania w lasach dóbr Mienia i Piaseczno, należących do szpitala św. Ducha, od sumy rb. 105 dzierżawy rocznej, na czas od d. 14-go stycznia 1905 r. do d. 14-go stycznia 1911 r.

Postrzelenie gajowego przez kłusownika. Do lasów łagiewnickich pod Łodzią, należących do barona L. Heinzla, wtargnął niejaki Zachert, właściciel jednej z poblizkich kolonij, z zamiarem polowania na zające. Obcego przybysza spostrzegł będący na służbie gajowy, 40-toletni Stanisław Micerski. Spełniając swój obowiązek, Micerski oświadczył kategorycznie amatorowi cudzej zwierzyny, aby opuścił teren lasu, gdyż na obcych gruntach polować nie wolno. Zachert oświadczenie gajowego przyjął drwinami i śmiejąc się, rzekł, że jeżeli Micerski nie zejdzie z drogi, wówczas zamiast do zająca, wyceluje do niego. Micerski, przyjmując odezwanie się w podobny sposób Zacherta za żarty, domagał się coraz usilniej, aby obcy przybysz opuścił las i gdzieindziej polował. Zachert jednak był głuchy na nalegania gajowego. Nadużycie praw posunął do tego stopnia, że w uniesieniu wystrzelił z fuzyi, raniąc niebezpiecznie Stanisława Micerskiego w prawą rękę. Raniony padł na ziemię. Wkrótce jednak podniósł się z ziemi i dowlókł do domu swego, położonego opodal lasu. Zachert uciekł. Zawiadomiony o wy-

padku zarząd dóbr łagiewnickich, wezwał natychmiast do chorego. lekarza ze Zgierza, który udzielił pierwszej pomocy. Lekarz zaopiniował, aby chorego oddać pod opiekę chirurga, który musi dokonać wyjęcia z ręki 27 śrócin. Wobec tego, Micerskiego odesłano do lecznicy przy ulicy Podleśnej w Łodzi. Zarząd dóbr Łagiewniki zamierza wdrożyć sprawę karną przeciw Zachertowi, sprawcy przykrego zajścia.

Sokolnictwo, jak donosi „Łowiec“ lwowski, zostało wskrzeszone u hr. Romana Potockiego w Łańcucie (Galicya). Hrabia sprowadził sokoły ze Szkocyi, a z niemi, razem przybył i sokolnik, który ma miejscowych ludzi sztuki sokolnictwa nauczyć.

Strzelanie konkursowe odbyło się w Tyflisie w klubie myśliwskim, gdzie mają 5 maszyn amerykańskich i gołębie asfaltowe. Maszyny pracują już 15 lat i są w dobrym stanie. Zwykle strzelanie do sztucznych gołębi odbywa się w Tyflisie po ukończeniu wiosennego ciągu słonek. Tym razem jednak zabrakło gołębi i trzeba było czekać, aż się je sprowadzi. W dzień konkursu było bardzo gorąco, wiatr dął silny i kurz unosił się w powietrzu, co było znaczną przeszkodą w strzelaniu. Każdy strzelał do 20 gołębi. Nagrodę I-ą (złoty medal) za 16 sztuk otrzymał p. Dittrich; II-ą (srebrny ze złotym orlem) za 15, p. Ortgies; III-cią (srebrny) za 12, oficer Śliwicki.

Kuropatwy w Prusach. Podług ostatniej statystyki urzędowej, stan kuropatw w Prusach wynosi około 8 milionów sztuk.

O dwóch rekordach na kuropatwy donoszą z rewirów austryackich. Wypadek pierwszy: Gordon Bennett, znany milioner amerykański, zawarł umowę z księciem Auerspergiem, że w majątku czeskim, Grünberg, należącym do tegoż księcia, będzie polował cztery dni na kuropatwy w towarzystwie zaproszonych osób. Bennett obiecał za to zapłacić 100,000 koron, pod warunkiem, że zarząd zagwarantuje możność ubicia conajmniej 10,000 kur. W tym celu zarząd umówił się z właścicielami sąsiednich rewirów, którzy powinni byli dostarczyć 20,000 sztuk żywych kuropatw, puszczanych w rewirze księcia, po 2 korony za sztukę. Ubita zwierzyna miała pozostać własnością dostarczycieli. Gordon-Bennett przybył do Grünbergu w towarzystwie Amerykanów i przedstawicieli szlachty francuzkiej. Polowano dwiema seryami. Pierwsza ubiła przeszło 11,000 kuropatw, druga serya około 6,000, razem zaś ze znalezionemi po polowaniu, suma kuropatw ubitych doszła do 18.000 sztuk. Wypadek drugi: W posiadłości morawskiej, Hrottawicach, własności p. Antoniego Drehera, odbywały się w drugiej połowie września podobnie wspaniałe polowania na kuropatwy. Polowano 2 dni w 8 i 9 strzelb. Ogólna suma ubitych ptaków wynosiła 6,800 sztuk. Syn właściciela sam ubił jednego dnia 1,434 kuropatw! Jest to w swoim rodzaju rekord wszechświatowy.

Pruskie polowania dworskie. W sezonie myśliwskim 1903/4 ubito na pruskich polowaniach dworskich 13,039 sztuk zwierzyny. Polowano na wszelkie sposoby, nie wyłączając łowów *par force*. Zwierzyna dzieli się na 756 jeleni, 2,139 danieli, 684 dzików, 174 saren, 380 bażantów, 3,039 zajęcy, 2,223 kur, 508 gęsi, kaczek i bekasów. Z drapieżników ubito 348 czapli i kormoranów, 365 lisów, 87 kun, 134 tchórzów, 240 łasic i 221 ptaków drapieżnych.

Otwarcie polowania na grousy w Anglii zostało tego roku uwieńczone nader pomyślnym wynikiem. Zarazy, która grasowała lat poprzednich, nie zauważono tym razem ani w Szkocyi, ani w Anglii. D. 18-go sierpnia ubito w Dollowgill, rewirze myśliwskim lorda Ripona, 1,020 grousów. Śród 6 obecnych strzelców był także książę Walii. Mięso grousów jest o wiele smaczniejsze od mięsa kuropatwy lub bażanta, a mimo to bardzo tanie w Anglii. Nie jest ono jednak wytrzymałe i nie może długo leżeć, bo się psuje.

Fatalny wypadek. Ze Zgorzelic na Śląsku donoszą: W Conradsdorf podczas polowania na kuropatwy, właściciel dóbr Weidelhofer zastrzelił wskutek nieostrożności, 62-letniego asystenta kolejowego, Hänsela.

Niedźwiedzie w Krainie. Góry w Krainie należą do miejsc, w których jeszcze się spotyka od czasu do czasu niedźwiedzia. Niedawno książę Raciborski (von Ratibor) ubił niedźwiedzicę w lasach majątku Gotschee. Strzelił on również do drugiej sztuki, samca, ale ten uszedł bezkarnie.

Niedźwiedź i lokomotywa. Ze stacyi Plase, leżącej na szlaku kolejowym Peszt-Rjeka na Węgrzech, donoszą do zagrzebskiego *Tagblattu* o ciekawem zdarzeniu. Obchodząc w nocy powierzoną sobie linię kolejową spostrzegł strażnik jakąś ciemną masę, zbliżającą się ku niemu. Gdy podniósł latarkę, by temu zagadkowemu przedmiotowi bliżej się przypatrzeć, spostrzegł tuż przed sobą rosłą niedzwiedzicę, idącą wprost na niego na tylnych łapach, z przedniemi, wzniesionemi w górę. Obok matki szło troje niedźwiedziąt. Przestraszony strażnik opuścił latarkę, która zgasła. W tej chwili zbliżył się pociąg, a niedźwiedzica z całą furyą rzuciła się na światła nadjeżdżającej lokomotywy, która roztrzaskała jej czaszkę. Młode niedźwiedzie uciekły. Strażnik wyszedł bez szwanku z tej przygody.

Zwierzęta w Mandżuryi. Psy, koty, kury, kaczki, gęsi w olbrzymiej ilości, kuropatwy, bażanty — wszystko to widzieć można w Mandżuryi, bądź błądzące na swobodzie po wsiach i miastach, bądź u handlarzy drobiu. Dziczyzny tu wogóle bardzo dużo. Długi czas bażant na targu w Charbinie kosztował tylko pół rubla, a kuropatwa 20 kop. Ceny te dziś, skutkiem wojny, podniosły się w czwórnasób. Mieszkaniec Mandżuryi lubi bardzo psy, ale... pieczone. Mięso psie jest tu specyałem, bardzo ulubionym i cenionym. Podczas wielkich uczt, które, co się tyczy długiego trwania, iść mogą śmiało w zawody z najdłuższemi europejskiemi, podają jednego lub dwa psy, specyalnie w tym celu tuczone. Świnia mandżurska z zewnętrznego wyglądu swego przypomina raczej dzika małego. Jest tylko od niego nieco mniejsza, ale równie zła. Większość jest barwy czarnej, rzadko kiedy spotkać można jaśniejsze; takie, jak u nas, są już prawdziwą rzadkością.

Oficerowie japońscy w ogólności nie uprawiają zwykle myślistwa z powodu znacznych kosztów, jakich ono wymaga, a na co nie stać niezamożnych przeważnie japońskich synów Marsa. Wyżsi oficerowie, którzy rozporządzają i czasem wolnym i pieniędzmi, z całą ochotą zajmuje się łowiectwem. Szczególnie generał Kuroki wyróżnia się jako niezwykle namiętny myśliwiec. Dobrymi myśliwymi są zresztą wszyscy krajowcy prowincyi, z której pochodzi Kuroki, a zwłaszcza potomkowie klanu Satsuma. Szlachta Satsumska, zamiłowana ogromnie w myślistwie, dotychczas jeszcze urządza wielkie łowy z naganką bez broni palnej, przyczem nietylko zające, ale i bażanty, zmęczone bezustannem prześladowaniem, padają w końcu pod uderzeniami maczug.

Nowoczesne Dyany. Podług najnowszej statystyki Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, znajduje się tam 1,320 łowczyń *zawodowych*. Ta sama statystyka wykazuje, że jest tam 5 majtków — kobiet na okrętach, 91 zakrystyanek i 196 kowalek. Pani Annita Morgan, żona znanego pisarza myśliwskiego, amerykańskiego, Kamila Morgana, ubiła niedawno w Drewohosticu na Morawii jednego z najkapitalniejszych kozłów w tej okolicy.

Lecznica dla ptaków. W pobliżu Londynu, w Norwood założono szpital dla wszelkiego rodzaju ptactwa. „Journal de l'Agriculture“ podaje kilka ciekawych szczegółów tego jedynego w całym świecie zakładu, powstałego z inicyatywy obecnego dyrektora, przezwanego „doktorem kur“, aczkolwiek nietylko kury otacza on swoją opieką. Do otwarcia rzeczonego szpitala przyczynił się były dyrektor zakładu hodowli drobiu, Wale, który z powodu grasującej epidemii wśród hodowanego ptactwa, ponosił dotkliwe straty.

Chcąc zaradzić złemu, począł on leczyć swych pierzastych pacyentów z taką umiejętnością i dobrym skutkiem, iż sąsiedzi zgłaszali się do niego o poradę dla swego chorego ptactwa. Wale, prócz leczenia na miejscu, otrzymywał ogromną ilość listów z Europy, Afryki południowej, Australii, Kanady z prośbą o osobiste przybycie lub o udzielenie przynajmniej piśmiennych rad i wskazówek. Obecnie szpital jest literalnie zapełniony i sale podzielone na małe klatki z zachowaniem wszelkich zasad hygieny, nie mogą pomieścić napływających wciąż opierzonych pacyentów. Zdarza się przytem często, że właściciele, nie wierząc w uratowanie ptactwa i chcąc się od niego uwolnić, oddają je do lecznicy, pod pozorem zbadania przyczyn jego choroby. Wale leczy ptactwo przeważnie przy pomocy pigułek, robionych w ambulatoryum szpitalnem. Rozumie się, iż skład pigułek tych trzymany jest w jaknajgłębszej tajemnicy. Sprzedaż pigułek odbywa się na grosy po cenie bardzo nizkiej. Prócz leczenia chorób wewnętrznych, „pan doktór“ stosuje też i chirurgię: nastawić zwichniętą nóżkę kurzą lub kaczą, opatrzyć ranę—jest dla niego zabawką. Prócz ogromnej wprawy okazuje on niezwykłe zamiłowanie w obranym zawodzie.

Oburzenie. — Wiesz pan co, panie prezesie, wczoraj zabiłem na polowaniu dziką świnię.

— Ja się dziwię, że pan hrabia na takie pospolite, ordynarne zwierzęta poluje!.. Świnia czy swojska, czy dzika, zawsze jest świnią!..

* * *

Strusie jaja. — Mamusiu, czy strusie też znoszą jaja?

— Ależ naturalnie! Dlaczego jednak o to pytasz?

— Bo nie wiem, dlaczego te się nie tłuką, gdy z tak wysoka spadają?!

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów“ J. O. (*C. d.*).

Chart.

18. Koń wymorzony w drogę, chart ochromiony (lub obkarmiony) w pole, czczy mieszek do targu—wszyscy nie wiele sprawią.
19. Urody końskiej w gromadzie koni, charskiej w gromadzie chartów, ludzkiej w gromadzie ludzi—nie udawaj.
20. Kota na myszy, na zające charta.
21. Lach a chart, to jeden czart; chłop a świnia to jedno mia (imię).
22. Nie łatwo lisa złapać, jeśli go już charty goniły.
23. Łasi się, jak chart za koniem na smyczy.
24. Lepsza mysz dla kota, niż sarna dla charta.
25. Niemca po śpiewaniu, charta po szczekaniu, zaraz poznać można.
26. Prowadzi, jak charta na smyczy.
27. Stanął, jak chart przed koleją.
28. Ucieka, jak zając przed chartem.
29. Żart żartem, chart chartem.
30. Na świętego Bartka lęka się zając chartka.
31. Kluczy, jak zając przed chartami.
32. Biada zającowi, na którym się młode charty zaprawiają.
33. Stoi, jak chart na przesmyku. (*C. d. n.*).

Treść Nr. 20 „Łowca Polskiego“.

Prenumerata **„Łowca Polskiego“** wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedyńczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO“ 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO“ prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO“ Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego“ adresować należy: Smolna 34, w Warszawie.

Дозволено Цензурою. Варшава, 30 Сентября 1904 г.

Redaktor i wydawca Jan Sztolcman.

Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.